

POWRÓT FRANCJI

PISALISMY już na tym miejscu, że ostatni zwrot w polityce światowej, zapoczątkowany podróżą Macmillana do Moskwy, wizytą Chruszczowa w Ameryce i zapowiedzianą rewizytą prezydenta Eisenhowera w Sowietach, będzie miał, jako nieuchronne następstwo, obudzenie czujności państw zachodniej Europy i coraz silniejsze akcentowanie niezależnych tendencji wspólnoty europejskiej.

Dojrzwiałe porozumienie mocarstw pozaeuropejskich, którego następstwa mogą w niepożądanym sposób zaciążyć nad dalszym losem naszego kontynentu, musi wywołać reakcję wśród narodów zainteresowanych, tym bardziej, że dzisiejsza Europa zachodnia zarówno pod względem swego stanu gospodarczego jak i układu politycznego nie jest identyczna z tym, czym była w pierwszych latach po wojnie, kiedy całkowicie znajdowała się w zasięgu wpływów amerykańsko-brytyjskich. Dziś w jej łonie organizuje się i wyrasta na rzeczywistą potęgę porozumienie francusko-niemieckie, dokoła którego zaczyna się z wolna układać, interesy pozostałych państw zachodnio-europejskich. Z chwilą, kiedy Francja zakończy wojnę w Algierze i armia jej, po powrocie do Europy, ulegnie reorganizacji celem dostosowania się do nowych zadań strategicznych, z chwilą kiedy Bundeswehra osiągnie pełną gotowość, Francja zaś stanie się niezależnym mocarstwem atomowym, porozumienie francusko-niemieckie, jeśli się utrzyma i trwale zwiąże ze sobą w szersze zjednoczenie europejskie, będzie miało wszelkie dane po temu, aby zamienić się w nowe supermocarstwo i odegrać doniosłą rolę w układzie politycznym świata. Rozwój podstaw gospodarczych tej nowej formacji, wyrażający się w organizacji wspólnego rynku, nade wszystko zaś potężny wzrost ekonomiczny Niemieckiej Republiki Federalnej oraz postępujące rażąco uzdrowienie gospodarki francuskiej z jej widokami na nowe bazy surowcowe w Afryce, okaże się silnym oparciem dla polityki Zachodu europejskiego oraz mocną podbudową dla jej niezależnych działań i tendencji. Potrzeba jeszcze kilku lat, by te warunki o których mowa, zostały ziszczone. Są one jednak wszystkie w stadium częściowej realizacji i ta okoliczność niewątpliwie wpływa zarówno na postawę państw Zachodu europejskiego, jak i państw pozaeuropejskich, szczególnie zaś dotyczy chociaż z różnych powodów i w nierównym stopniu, dwu dotychczasowych monopolistów potęg militarno-gospodarczych.

Nielatwym zadaniem dla powstającej unii zachodniej będzie utrzymanie okresu przejściowego, kiedy jej duże możliwości będą wciąż jeszcze w fazie realizacji, kiedy jej aktualne siły nie będą jeszcze pokrywać się z pozycją, do jakiej dąży i kiedy będzie musiała opierać się dwustronnemu naciskowi przetrastających ją potęg. Trudności te komplikuje ponadto stan wewnętrzny państw przyszłej unii zachodniej, oraz rozbieżności polityczne w ich wzajemnych stosunkach. Mimo dużego postępu Francji pod rządami de Gaulle'a jej sytuacja wewnętrzna nie jest jeszcze ostatecznie ustabilizowana. Również i w Republice Federalnej kanclerz Adenauer raz po raz spotyka się z trudnościami w prowadzeniu swo-

jej polityki zewnętrznej, rewizjonizm zaś i odzyskanie staropruskich tendencji w licznych kołach niemieckich komplikuje stosunek pomiędzy tymi dwoma państwami. Francja bowiem decydując się na zbliżenie ze swoim wschodnim sąsiadem i na wspólną z nim politykę unii, nie zapominała przecież lekcji historii i nie jest skłonna do ofiarowania przyjaźni na ślepo, bez stanowczego żądania dopasowania polityki niemieckiej do nowej konfiguracji politycznej i do nowej roli, jaka w świecie powojennym przypadła w udziale obu narodom. Wypowiedzi de Gaulle w sprawie granicy na Odrze i Nysie wskazują na to, że Francja nie zamierza, dla świętej zgody, odstąpić od swojego rozumienia rzeczy i od swoich planów urzędzenia stosunków europejskich.

Przewycięzenie tych wszystkich trudności nie jest rzeczą ani prostą ani łatwą. Tym bardziej, że trzeba to czynić w atmosferze poważnego wstrząsu, jaki wywołała Ameryka i Wielka Brytania swoim nagłym zwrotem w polityce światowej. Prezydent Eisenhower usiłuje wprowadzić wrażenie i skutki tego

zwrotu pomniejszyć i przez swoje wojaże polityczne w Europie i Azji złagodzić niepokój, jaki z tego powodu powstał wśród sprzymierzeńców Ameryki, niemniej jednak element niepewności co do dalszego rozwoju nie przestanie odgrywać poważnej roli w politycznym planowaniu państw zainteresowanych.

Ostatnie spotkanie de Gaulle z Adenauerem niewątpliwie poświęcone było właśnie tej sprawie i miało na celu uzgodnienie polityki obu państw w obliczu nowej sytuacji. Korespondent berliński londyńskiego „Observera” pisząc o tym spotkaniu nadmienia, że pomiędzy de Gaulle'm a Adenauerem zachodzi

różnica w poglądach na metody działania, wynikające z temperamentów obu mężów stanu. De Gaulle jest przekonany, że najlepszą formą obrony jest atak i skłonny jest użyć do tego argumentów przyszłej potęgi osi Paryż—Bonn, dozwolonych zresztą, stosownie do okoliczności i warunków, Adenauer natomiast doradza większą powściągliwość, kładąc nacisk na to, że przyszła siła osi jest jeszcze wciąż sprawą przyszłości i że może ona dojrzeć jedynie w łonie NATO i pod protekcją Ameryki.

„Nie jest on — pisze „Observer” — przekonany, że Ameryka pragnie zniszczyć własnymi rękami to

Z okazji nadchodzących świąt
NARODZENIA PAŃSKIEGO
wszystkim Czytelnikom i Przyjaciółom Pisma
składa najserdeczniejsze życzenia
DOBRYCH I RADOSNYCH ŚWIĄT
oraz
SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU 1960

Londyn, 15 grudnia 1959

Wydawnictwo „Myśli Polskiej”

CO SŁYCHAĆ...

W LONDYNIE

Sprawą żywo interesującą koła polityczne i gospodarcze W. Brytanii nie przestaje być wzajemny stosunek wspólnoty ekonomicznej 6 państw kontynentalnej Europy i konkurencyjnego bloku tzw. siedmiu, obejmującego Anglię, państwa skandynawskie, Szwajcarię, Austrię i Portugalie. W czasie ostatnich wizyt w Londynie kanclerza Adenauera, premiera włoskiego Segni i amerykańskiego podsekretarza stanu dla spraw ekonomicznych Dillona — zagadnienie to miało bodaj pierwszeństwo przed wszystkimi innymi, nie wyłączając tematyki związanej ze spotkaniem na szczycie.

Przy tej okazji pokazało się, jak bardzo zakorzenione jest w Anglii myślenie kategoriami tradycyjnymi. Klasyyczna koncepcja brytyjska polega na przypisywaniu sobie specjalnej pozycji w Europie. Gdy Anglik mówi o „Europie”, ma na myśli kontynent europejski bez wysp brytyjskich. Inna formuła jeszcze bardziej podkreśla specjalną pozycję W. Brytanii: mówi się, że Anglia jest w Europie, ale nie należy do Europy (Britain is „in” Europe but not „of” Europe). Formuła ta oznacza, że W. Brytania stanowiąca grupę wysp położonych obok lądu europejskiego, w innych warunkach historycznych się rozwijała, wywierając specjalny wpływ na światopogląd swych mieszkańców, wytworzyła inne instytucje i poprzez stulecia formowała własną politykę zagraniczną. Ponadto elementem specjalnym kształtującym politykę brytyjską jest Wspólnota Brytyjska, której centrum jest w Londynie. Stąd Wielka Brytania mając z jednej strony zobowiązania wobec kontynentu europejskiego, a z drugiej wobec zamorskich członków swej Wspólnoty, nie może i nie powinna łączyć się zbyt silnie z jakąkolwiek formacją czysto kontynentalną.

W tej tradycyjnej postawie należy szukać źródła chwiejności polityki brytyjskiej w odniesieniu do budowy jednolitej europejskiej. To Churchill nawoływał Francuzów i Niemców do pogodzenia się, a gdy zachodnia Europa poprzez Wspólnotę Węgla i Stali, wspólny rynek i Wspólnotę Atomową weszła na tę drogę, rząd brytyjski uchylił się od ścisłej współpracy.

Coraz więcej jednak odzywa się głosów wskazujących na wielkie niebezpieczeństwa, wynikające dla

Anglii z ekonomicznie podzielonej Europy. Pojawiają się one głównie w kołach gospodarczych, zaniepokojonych szybkim postępem ekonomicznej wspólnoty kontynentalnej bez udziału Anglii. Z okazji pobytu Dillona w Londynie w ubiegłym tygodniu okazało się ponadto, że wprowadzić Waszyngton liczy się z faktem powołania do życia bloku siedmiu państw z Wielką Brytanią na czele, to jednak wcale nie jest do tego entuzjastycznie nastawiony. Ze natomiast polityka amerykańska przychylnym okiem patrzy na rozwój wspólnego rynku sześciu krajów kontynentalnych, tym bardziej iż daje on podstawę w dalszym etapie do zbudowania ścisłej wspólnoty politycznej. Wszystkie te okoliczności zmuszają rząd brytyjski do poddania rewizji swojej dotychczasowej polityki.

W WARSZAWIE

Po wydaleniu z Polski korespondent „New York Times'a” ogłosił serię artykułów, w których daje szereg bardzo ciekawych objaśnień obecnej sytuacji w Kraju. M.in. zajmują się również rolą, jaką rząd komunistyczny z namaszczenia sowieckiego odgrywał w dziedzinie dyplomatycznej. Korespondent dziennika nowojorskiego nie ma żadnej wątpliwości co do rzeczywistego autorstwa tzw. planu Rapackiego. Umieszcza je wyraźnie w Moskwie. Polityce sowieckiej, szukającej się do negocjacji z Zachodem, zależało na tym, by przedstawiciele dyplomatyczni rządu warszawskiego odegrali wobec Zachodu rolę czołówki badającej grunt dla koncepcji sowieckich. Z chwilą jednak, gdy kontakt nawiązany został bezpośrednio między wielkimi mocarstwami, rola komunistów polskich zmalała prawie do zera. Nie są już potrzebni Moskwie, a także i Zachód jest mniej zainteresowany, aby za ich pośrednictwem dowiadywać się, w jakim kierunku idzie Moskwa.

Korespondent amerykański zwraca również uwagę na inny charakterystyczny szczegół obecnej pozycji komunistów polskich. Biurokracja partyjna innych krajów środkowo-europejskich patrzyła na nich z nieukrywaniem podziwem i szacunkiem po październiku. Dzisiaj sytuacja jest zupełnie odmienna. W rozmowach z Czechami czy wschodnimi Niemcami padają nie tylko krytyczne uwagi o polskiej drodze do socjalizmu, ale i bardzo uszczyp-

liwe zdania o polskich przywódcach komunistycznych.

Rola satelity nie jest łatwa. Z wypożyczoną aureolą można obnosić się tak długo tylko, dopóki główny reżyser nie postanowi zmienić sceny.

W PARTII

Wielkie poruszenie wywołało wśród kierowników partii poufne opracowanie na temat dopływu nowych członków w pierwszym półroczu 1959 roku. W półroczu tym przyjęto do partii 44.490 nowych członków. Tylko połowę tej liczby stanowi robotnicy. W niektórych województwach procent ten wśród nowo przyjętych członków jest jeszcze niższy. Komitet wojewódzki w Bydgoszczy na Pomorzu wprowadził przyjęł największą ilość nowych członków, wśród nich jednak robotnicy stanowią zaledwie 10 proc. Podobna sytuacja jest w województwie opolskim.

Co jest jednak najciekawsze, to obawa autorów z centralnej komórki organizacyjnej partii, że duża część nowopryjętych stanowią ludzie, którzy wstąpili do partii po to, by ją od wewnątrz rozsadzić. Biuro Organizacyjne PZPR oceniło, że próby takiej infiltracji przybrały masowe rozmiary i dopatruje się w tym zorganizowanej akcji. Ktoś — autorzy powiadają — musiał rzucić hasło takiego „przenikania”. Opracowanie dochodzi do wniosku, że w Polsce są obecnie tylko dwa elementy, które mogłyby dać owe „masowe” hasło: jest to albo Kościół Katolicki i związane z nim organizacje, albo — jak powiadają — „resztki ruchu nacjonalistycznego”.

Nie wątpimy, że hasła „nacjonalistyczne” — czy powiedzmy wprost: narodowe — mogą pociągać masy w dzisiejszej Polsce. Ale czy w tym wypadku partia komunistyczna nie boi się własnego cienia?

wszystko, co z takim trudem zbudowała w Europie w ciągu 12 lat i że Wielka Brytania może naprawić dać pierwszeństwo potęgę sowieckiej nad kanałem przed potęgą francusko-niemiecką. Dlatego też doradza utrzymanie szerszej wspólnoty atlantyckiej wraz z ciśniejszą wspólnotą unii europejskiej. Wydaje się, że w naradach paryskich przeważało zdanie kanclerza i że prezydent de Gaulle nagnie swoją taktykę do wymagań okresu przejściowego, w którym ani Francja ani Niemcy nie osiągnęły jeszcze dostatecznego stopnia swoich sił i możliwości. Klucz sytuacji znajduje się jednak w ręku Stanów Zjednoczonych. Od tego jak pokierują one dalszym rozwojem położenia, jak ustosunkują się do sprawy rozbrojenia, zjednoczenia Niemiec i kwestii zachodniego Berlina zależy będzie postawa zarówno Bonn jak i Paryża, a co za tym idzie los przymierza atlantyckiego.

Niebawem odbędzie się w ramach NATO szereg spotkań i narad sprzymierzeńców zachodnich celem ustalenia wspólnej linii postępowania i przygotowania konferencji z Chruszczowem. W biegu tych przygotowań zarysowuje się wyraźniej postawa poszczególnych członków sojuszu atlantyckiego, ich zamiary oraz konkretne cele, kryjące się poza ogólnymi hasłami odprężenia i pokoju. Wyjaśni się wtedy, jak trudnym zadaniem jest osiągnięcie pokojowej koegzystencji wobec skromnej marzy ustępstw sowieckich i uporczywego trwania się przez Moskwę zasady *status quo* na dziś oraz komunistycznej ekspansji na najbliższe jutro. Przed uczestnikami tych narad stanie w całej rozciągłości problem Europy i jej przyszłości. Jest przeto rzeczą doniosłej wagi, że do głosu powracą Francja, której dziejowa rola w Europie i jej żywotne interesy nakazują szukania rozwiązań w szerszych ramach, niż istniejące dziś stan rzeczy, wywołany ustepliwością Zachodu wobec imperializmu sowieckiego we wschodniej części naszego kontynentu.

Powrót Francji na arenę polityki światowej wcześniej czy później wysunie problem scalenia rozdartego kontynentu i ożywi dążenie do naprawienia błędów popełnionych w Jałcie przez mocarstwa pozaeuropejskie. Stanie się tak dlatego, że wraz z powrotem Francji pojawi się szersza polityka europejska jako niezależny i silny nurt w ramach polityki przymierza atlantyckiego. Europa przestanie być biernym przedmiotem polityki mocarstw pozaeuropejskich, stanie się znowu niezależnym, rosnącym w siły współtwórcą położenia światowego, zdolnym do obrony interesów własnych i kształtowania przyszłości zgodnie ze swoimi dążeniami.

MATERIAŁY, ŻYWNOŚĆ LEKARSTWA do KRAJU

WYSLESZ NAJKORZYSTNIEJ PRZEZ

P.C. STORES

STEFAN BREWKA

18, QUEEN'S GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7

Cennik, zawierający ponad 700 pozycji, wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

ADAM NIEBIESZCZAŃSKI

RACHUNEK SUMIENIA O PÓŁNOCY

PRZECIĘTNY Amerykanin, który mieszka na przedmieściach Nowego Jorku, wstaje o godzinie 6-ej rano, ubiera się, je śniadanie, wsiada do samochodu lub autobusem dociera do stacji kolejki podziemnej. Musi walczyć o miejsce dla zaparkowania auta, o kilka stóp kwadratowych w autobusie i o przestrzeń dla ręki na pasach wewnątrz kolejki, gdy stara się czytać gazetę. Dociera do biura o 9-ej. Wieczorem ta sama procedura: z pewną dozą szczęścia wraca do domu około 7-ej. Po kolacji czyta gazetę i patrzy w telewizję. Jest już niedolny do wysiłku fizycznego i umysłowego. Wspólnie Madison Avenue, Hollywood i Broadway wprowadzają jednak zmęczonego człowieka w zaczarowany krąg: dają mu podniecie seksualną w postaci gwiazd w obcisłych swetrach, rozrywkę umysłową przez konkursy i programy pseudo-naukowe, informują o świecie ustami komentatorów, polityków, mężów stanu krajowych i zagranicznych, wprowadzają w stan awanturniczego podniecenia programami o podłożu kowbojskim lub kryminalnym, sugerują co kupić atrakcyjnymi ogłoszeniami. Wszystko jest przygotowane przez specjalistów, zapakowane, przepasane wstążką i gotowe do użytku. Przeciętny Amerykanin musi jedynie zarobić garść dolarów. Reszta czeka już na niego na srebrnej tacy.

PRYSKAJĄ ŻŁUDZENIA

Ten sielski żywot w zaczarowanym kręgu trwałby może w nieskończoność, czyli do wybuchu pierwszej wojny atomowej, gdyby nie skromny nauczyciel angielskiego na uniwersytecie Columbia, Karol Van Doren. Chłopcy z Madison Avenue zrobili z profesora geniusza. Postawili go na ekranie i w konkursie sprawności intelektu pozwolili mu wygrać ponad sto tysięcy dolarów. Niedawno okazało się, że Van Doren otrzymał z góry pytania i odpowiedzi. Miał się jedynie nauczyć odpowiedzi na pamięć i recytując je udawać, że zdobywa się na potężny wysiłek umysłowy. Profesor z Columbia był tylko pierwszą szpiłką wbitą w nadęty balon złudzeń. Szybko wyszło na jaw, że szpilek było całe morowe. Na dobrą sprawę nie było jednego uczciwego programu, łącznie z przemówieniami mężów stanu i kandydatów prezydenckich, napisanymi na zamówienie przez tzw. „ghost-writerów” — teraz już wiemy dlaczego niektórzy robili nawet wrażenie, że nie wiedzą co czytają — oraz ogłoszeniami. Nawet

stara renomowana firma „Colgate” ma sprawę o nieuczciwe reklamowanie pasty do zębów i ja zaczynam się zastanawiać czy nie czyścić uzębienia solą kuchenną. A może ktoś z czytelników „Mysli” nie wie co to jest „payola”. Otóż jest to łapówka, którą musiało się płacić „disk jockey’om” na programach radiowych i telewizyjnych za wybór płyt gramofonowych, nagrywanych na tych programach. Autor piosenki lub jego firma wydawnicza płacili takiemu panu, który dokonywał wyboru płyt do audycji. Teraz już wiem dlaczego ja i Chruszczow nie lubimy nowoczesnej muzyki amerykańskiej.

KWIATY ŻŁA

Już drugi tytuł w niniejszym felietonie zacerpnięty jest z Baudelaire’a, a to dlatego, że temat jest ponury, a atmosfera w Waszyngtonie u schyłku roku także daleka od różowej. Od ewangelisty Billy Grahama do rozkrzyczanego zespołu kandydatów prezydenckich, z których żaden się jeszcze nie przyznał, że kandyduje, wszyscy zastanawiają się co to za trujący posiew znalazł się w glebie, rodzącej owe kwiaty żła.

Nie trzeba być jednak purytańskim pastorem sekty baptystów czy nawet profesorem Columbi, by dojrzeć, że u korzeni tej moralnej dżungli leży dzika, prymitywna i nie przebiegająca w środkach walka o wpływy i o pieniądze. Już nie tyle chodzi o rakietę księżycową, ile o dolary. Dlatego łatwy dolar (fast buck) dominuje nad współczesną umysłowością, a rakietę księżycową jak nie ma, tak nie ma. Przemysł stalowy i unia metalowców z prezesem McDonaltem na czele starły się w gladiatorским uścisku, który mógł okazać się śmiertelny dla produkcji kraju. Dlaczego? Bo przemysł chciał zwiększyć rekordowe zyski, zaś McDonald rekordowe płace. Siwy, dystygowany prezes unii uważa przy tym, słusznie czy niesłusznie, że gdy co dwa lata nie uzyska podwyżki płac, metalowcy wyrzucą go z posady.

W ostatni czwartek listopada Ameryka obchodziła Dzień Dzięcznienia na pamiątkę dziękczynnej biesiady pielgrzymów, którzy przybyli z Anglii na pokładzie „Mayflower” przed przeszło trzydziestu laty. Tym razem na stołach biesiadnych zabrakło tradycyjnych czerwonych borówek, bo się okazało, że je hodowcy posypywali jakimś środkiem dezynfekcyjnym, który u królików wywołuje raka. Jedząc zatem 15 milionów indyków

bez borówek nie tyle myślano i mówiono tym razem o Bogu, co o rozmaitych przejawach chorobliwych indywidualnych i zbiorowych, wewnętrznych i tych zewnętrznych łącznie z otoczoną bandą brodatych komunistów Fidelem Castro na pobliskiej Kubie. Jak bowiem wiadomo, członkowie partii komunistycznej w Hawanie otrzymali z Moskwy polecenie zapuszczenia bród, które na dziś symbolizują rewolucję i anty-amerykanizm, a na jutro sowiecką bazę wypadową tuż przy miękkim podbrzuszu Stanów Zjednoczonych.

NIUŻYTNI EPOKI ATOMOWEJ

Gdy mowa już o brodach, trudno nie wspomnieć o „beatnikach”, którzy rozmnożyli się w niepokojący sposób w okopconej Kalifornii i w artystycznej dzielnicy słonecznego Nowego Jorku. Beatniki zapuszczają brody, a ubierają się w podarte mokasyny, rurkowane spodnie, kolorowe koszule bez krawatów, pulawery i brudne płaszczki przeciwdeszczowe. Ich kobiety ubrane są podobnie. Słowo „beatnik” pochodzi zapewne od „beat”, udeptanego rejonu służbowego policjanta, lub po prostu od bicia: ludzie, których zbił los. Beatnicy jak niebieskie ptaki żyją z powietrza, spotykają się w zadymionych lokalach, tarzają się w grzechach głównych i dyskutują tylko tematy najgłębsze z psycho-analitycznym zacięciem. Jak świadkowie Jehowy czekają na Sądny Dzień. Symbolizują beznadziejność epoki, a zamiast indyków, jedli na „Thanksgiving” za trute borówki.

Statystyki wykazują, że beatników jest w Ameryce ze sto tysięcy, Van Dorenów chyba drugie tyle, a łącznie z innymi nieużytkami atomowej ery cały ten zakażony zespół wciąż stanowi znakomitą mniejszość społeczeństwa w zasadzie zdrowego, ale ogłupianego przez sprytnych manipulatorów. U progu Nowego Roku wypada życzyć narodowi amerykańskiemu, by ostatnie przeżycia podzielały jak szok elektryczny i doprowadziły do wyzwolenia tradycyjnych zasobów energii, pomysłowości i wrodzonej, uczciwej inteligencji, które uczyniły z Ameryki przewodniczkę wolnego świata.

**P R E N U M E R A T A
J E S T
P O D S T A W A
N A S Z E G O P I S M A**

Wpłać przedpłatę na 1960 r.

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

Najlepsze życzenia dobrych Świąt Bożego Narodzenia i szczęśliwego Nowego Roku swoim Najbliższym oraz Przyjaciółom, Kolegom i Znajomym składają, przekazując równocześnie ofiary na Fundusz Narodowy:

Wydział Wykonawczy Stron.	B. Siedlecki — Corby	1. 0.0
Narod. w W. Brytanii ... £3.	W. Sielicki — Leeds	0.10.0
F. A. Arciszewski — Londyn	M. Skibiński — Glasgow	0.10.0
J. Adel — Londyn ...	E. Sojka — Londyn ...	2. 0.0
Inż. E. Baranowski —	H. i K. Stankiewiczowie —	
Montreal, Kanada ...	Londyn ...	0.15.0
J. Bielatowicz — Londyn	S. Strep — Coventry	0.10.0
T. Bielecki — Londyn ...	H. Świeżawska — Londyn	0.10.0
T. Borowicz — Londyn ...	J. Tollik — Sheffield	0.10.0
S. Brewka — Londyn ...	S. Tomaszuk — Francja, ... fr.	600
M. Bryl — Londyn ...	A. Tybulewicz — Londyn	1. 0.0
Z Bulewicz — Cambridge	W. K. Urbański — Londyn	0.10.0
W. Catus — Loughborough	T. Wesolowski — Bolton	1. 0.0
E. Chada — Exeter ...	Wiarus — Londyn ...	0.10.0
M. Czajka — Long Marston	H. Witkowska — Londyn	1. 0.0
K. Czapski — Cheltenham	E. Wołoszyk — Londyn	1. 0.0
T. Danilewicz — Huddersfield	Dr. T. A. Wiszniewski —	
A. Dargas — Londyn ...	Rotherham ...	2. 0.0
S. Dolega-Sierakowski —	S. Zaleski — Londyn	1. 0.0
Preston ...		
J. Dudzinski — Bradford		
J. Dulat — Londyn ...		
M. Hakemer — Londyn ...		
T. Hobler — Londyn ...		
J. Jaciewicz-Skragajło —		
Londyn ...		
J. Janurek — York ...		
E. Jastrzębiec-Chylewska		
— Zurich ...		
A. Jurkiewicz — Keighley		
L. Kopeć — Ameryka ...		
Z. Kotkowski — Londyn ...		
J. Kurkiewicz — Birmingham		
B. Kurowski — Lund ...		
J. Kwiatkowski — Wrexham		
S. Łucki — Paryż ...		
B. Ławski — Plymouth		
A. Marczak — Kirkcaldy		
J. Maszczyk — Francja		
J. Mikiciński — Birmingham		
S. Misiara — Kirkcaldy ...		
J. Mrowiński — Londyn ...		
M. Muszyński — Glasgow		
J. i W. Netterowie — Londyn		
S. Olsztyński — Wolver-		
hampton ...		
W. Owoc — Paryż ...		
P. Owsiński — Birmingham		
P. Pardon — Pontypridd		
H. Pawlikowski — Kirkcaldy		
L. Placzek — Ulverston ...		
E. Przetakiewicz — Man-		
chester ...		
S. Rolski — Londyn ...		
I. Roszkowski — Dundee		
J. Rożdżyński — Londyn		
K. Rubin — Huddersfield		
J. Sergot — Manchester ...		

RED. PAWEŁ HĘCIAK prezesem Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii

Dnia 13 bm. odbył się w Londynie Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii. W otwarciu Zjazdu wzięli udział: członkowie Rady Trzech: gen. W. Anders i gen. T. Bór-Komorowski, przewodniczący TRJN dr. T. Bielecki, prezes Egzekutywy dr. W. Czerwiński, z ramienia duchowieństwa ks. mgr. K. Sołowiej oraz liczni przedstawiciele organizacji społecznych. Po przerwie rozpoczęły się obrady wewnętrzne, przy czym sprawozdanie z działalności ustępującego Zarządu składał p.o. prezes mec. J. Narożański.

Po udzieleniu absolutorium odbyły się wybory. Komisja-Matka wysunęła tylko jednego kandydata: red. Pawła Hęcia, który przeszedł ogromną większością głosów. Wybór jego przyjęli delegaci oklaskami. Do nowego Zarządu weszli nadto: Z. Bienkowski, M. Brzezicki, dr. E. Góra, M. Jadowiński, W. Kański, S. Kolańczyk, J. Konopka, E. Kudrewicz, J. Płóski i P. Woźniak. Do Komisji Rewizyjnej weszli m.in.: S. Brewka i B. Stemborowski.

Zeszyt 6smy
Studium Politycznego Stronnictwa
Narodowego
WŁADYSŁAW FOLKIEWSKI
„PAWEŁ WŁODKOWICZ
WALKA O POLSKĘ”
Do nabycia: 8, Alma Terrace,
Allen Street, London, W.8
Cena 1/6, dla członków SN 1/-

ZYGMUNT WASILEWSKI

ATMOSFERA POLITYCZNA I MORALNA

Obywatel polski w roku 1920 pałał żądzą alfabetu politycznego i niczym się nie różnił od szlachcica mazowieckiego Jana Paska, który 250 lat temu wdzierał się na Sejm w Warszawie, aby się czegoś nauczyć. Pasek był i teraz miarodajnym dla nas wzorem, gdy tak pisał o swej pasji politycznej:

„Byłem na tym sejmie umyślnie, swoim własnym kosztem, żeby też przysłuchać się rzeczom i widzieć, co się dzieje. Napatrzyłem się, o Boże, fakcyj i tej strony i tej wymslonych i wykretnych takich, żeby trzeba całą księgę napisać, kto by chciał materyję tego sejmu wypisać doskonale. Kładę na tym miejscu młodym ludziom, którzy to po mnie czytać będą, taką admonicję, żeby każdy, z szkół wyszedłszy, starał się o to pilnie, aby się rzeczom przysłuchał i przypatrzył na sejmach, gdzie jeżeli nie może być o swoim koszcie, przystać do posła albo do panięcia którego, byleby przecie być na jednym i na drugim sejmie; albo też, choćbyś już był żołnierzem, to podczas hibernowego stanowiska jechać na sejm z hetmanem albo z rotnistrem swoim, jakom ja czynił kilka razy, a przecie koniecznie być, nie omieszkując sesji, diligencissimie słuchać... Powiedam tedy każdemu, że wszystkie na świecie publik, cień to jest przeciwko sejmom. Nauczysz się polityki, nauczysz się prawa, nauczysz się tego, o czym w szkołach jako żyw nie słyszałeś; żyćże tedy każdemu czynić tak.”

Dodałbym wszakże uwagę, że ówczesny Pasek stał duchowo jako

Polak znacznie wyżej od wielu przedstawicieli naszego rządu w wieku XX. Porównajmy go ze Sławoj-Składkowskim, którego w Senacie nieraz wysłuchiwałem, gdy przemawiał w imieniu rządu. Obaj zostawili po sobie pamiątki, obaj byli utalentowanymi pisarzami, obydwa mieli ruchliwość swoistą i dowcip. A jednak o ile lepszy z tych dwóch robił użytek P. Pasek, gdy kreślił swoją r e c o r d a c i o n e m ku czci Stefana Czarnieckiego, niż nasz premier, gdy pisał „Strzępy meldunków”. Inną miarę przykładu do wielkości człowieka. Proporcja wypadnie na niekorzyść wieku XX: tak się ma Sławoj-Składkowski do Paska, jak Józef Piłsudski do Stefana Czarnieckiego. Premier Składkowski i marszałek Senatu Raczekiewicz byli dla mnie typowymi przedstawicielami reżimu Piłsudskiego. Zrozumiałem, dlaczego „endecja” jest im tak nieawistna. Nie było sprawy, w której byśmy się nie różnili. Dlaczego? Dlatego, że różniła nas m e t o d a traktowania sprawy publicznej. My patrzyliśmy ludziom w oczy i na ręce, jaki jest ich stosunek do rzeczy samej, do dobra, do interesu narodu. Od działacza publicznego wymagało się wielu rzeczy: (a) aby wiedział, co jest interesem obywateli państwa, a więc kompetencji fachowej, (b) aby się czuł za to dobro odpowiedzialnym i w myśli o zwycięstwie tego dobra skupiał wszystkie swoje ambicje osobiste z zagubieniem wszystkich postronnych względów na swoją osobę i na koterię. Najczęściej do

ŻYCIORYS — FRAGMENT 34

egzaminu z tego drugiego punktu nie dochodziło, bo sprawa rozbijała się o punkt pierwszy — o zupełny brak kompetencji umysłowej. W tych warunkach poszukiwanie pod spodem człowieka moralnego jest trudem bezcelowym, skoro się zważy, że u człowieka grającego rolę meża stanu sam brak świadomości postępku i słów jest już przestępstwem. Pan Prezydent Rzeczypospolitej prof. Mościcki był podobno bardzo dumny ze swego premiera. „Pokażcie mi panowie premiera” — mówił w ostatnich czasach swych rządów do pewnej delegacji — który by potrafił z taką łatwością i tak dowcipnie odpowiadać w parlamencie na wszystkie interpelacje”. I ja też, słuchając jego przemówień, byłem zdziwiony tą łatwością, z jaką wymijał istotę każdej sprawy, aby tylko zadowolić siebie i niewybrednych słuchaczy swadą polemicznego frazesu i koncepcjami. Nie spostrzegłem, aby przedstawicielom rządu chodziło kiedykolwiek o dowiedzenie się p r a w d y. Miałem wrażenie, że chodzi im tylko o wprowadzenie opinii w błąd co do istotnego stanu rzeczy. Utwierdzało mnie w tym przekonaniu czytanie się w prasę prorządową i zachowywanie się cenzury wobec prasy narodowej.

Słowem atmosfera moralna, w której upływało nam współżycie z rodakami na wyżynie społeczeństwa, miała osobisty skład chemiczny. Brakowało w niej zupełnie pierwiastka prawdy. Zbiegiem okoliczności, a może właśnie z poczucia tej osobliwości wypłynęło, że ci lu-

dzie na Górze myśleli o sztucznych wynalazkach chemicznych, takich jak „Ozon” Rydza-Śmigłego, albo zgola już fizyczne odkrycie Prezydenta prof. Mościckiego pierwiastka „górskiego powietrza”, którym Polak mógł w dusznej izbie wznieść się płucami na wyżyny Gałtacha. To, co pisałem wyżej o czasach przedwojennych, że zdążyliśmy ku Polsce z nadmiernym ładunkiem kłamstwa, stało się istotą stosunków. Kłamstwo stało się taką koniecznością reżimu, że kłamcy nie mogliby, gdyby nawet zechcieli, doszukać się, gdzie ich brzeg, gdzie grunt pod nogami. W końcu nie już nie było wiadomym. Marszałek Raczekiewicz w słynnym przemówieniu w imieniu rządu wyraził się, że nie wie, co groźniejszego dla państwa: bolszewizm czy obóz narodowy. Doszło do tego, że zakwestionowano istnienie jedynej rzeczywistości politycznej, mianowicie narodu. Wyznanie idei narodu stało się nielojalnością wobec państwa, akcją antypaństwową. Ostatnia konstytucja wyraz ten wykreśliła ze swego słownika. Pojęcie rzeczywistości stało się mitem, żeby je jakoś urealnić, ten, komu to było potrzebne, mówił o „rzeczywistej” rzeczywistości i właśnie wtedy nikt mu nie wierzył.

Rzeczywistość się pomału zmieniła w krainę legendy, legalizowanej ustawami. Zginął z oczu przedmiot dziejów i cel odległy, pozostało kółko ludzi, których Polska była rzekomą własnością. Skończyło się na tym, że w roku 1939 myślano na górze państwa tylko o tym, co będzie w roku 1940 z wyborem prezydenta. Gdy wróg stał ante portas, każdy z nich myślał tylko o tym, jakby zostać symbolicznym „wodem narodu” i każdy przez imagi-

nację s e d i na tę k o r o n a c j ę. Rzeczywistość była inna. Byli wodzowie bez narodu, naród był bez wodzów. Naród bohaterski stawiał opór, ale wodzowie byli za granicą kraju i w ogóle za granicą tragicznej rzeczywistości. Już wrogowie dzielili się skrwawionym ciałem ojczyzny, gdy setki tysięcy chodzili po wioskach z nakazami karnymi i „urgensami” premiera Składkowskiego, jako że nie wszystkie płoty były jeszcze pomalowane na białe, nie wszystkie były ażurowe.

* * *

Pod koniec swojej opowieści staje wobec zadania bardzo trudnego, jak w paru słowach sformułować pogląd na ten okres lat dwudziestu. Gdy koniec zapada się w otchłań jakiejś katastrofy, niechże każdy z nas stara się zapisać dla potomności, na czym się urwał wątek jego świadomości dziejowej. Snów nawet pięknych notować nie warto, ale doświadczenia trzeba.

Każdego w mym pokoleniu uderzyć musiało coraz wyraźniej zarysowujące się w wolnej formalnie Polsce zjawisko dwoistości prądów życia publicznego. Padał stąd cień na radość naszą z powodu odrodzenia państwowości. Kto umiał myśleć, widział, jak daleko nam jeszcze do zjednoczenia wewnętrznego i do prawdziwej wolności. Zarysowały się wyraziście niż dawniej głębokie różnice psychiczne i moralne między dwoma obozami. Istniały one już dawniej, jak to miałem sposobność zaznaczyć już poprzednio nawet jako różnice w poglądach strategicznych. Ale gdy dawniej te różnice zakrywane były z wierzchu motywami różnic partyjnych, to znów orientacyjnych w polityce, to teraz w ściślejszym po-

WIKTOR TROŚCIANKO

DZIENNIKARSTWO SOWIECKIE

FELIETON dzisiejszy ze względu na jego treść mógłbym ograniczyć do zdania początkowego, po czym przez dziesięć minut nadawać ciszę, pod którą słuchacze według własnego uznania mieliby prawo podłożyć wszystko co im się podoba. Bo zamierzam mówić o wolności prasy w Sowietach. Temat z tej samej rodziny, do której należy słynne zagadnienie: węże w Irlandii. Ponieważ węże w Irlandii nie ma, autor badanego zjawiska ma zadanie ułatwione. Stwierdził: nie ma i koniec. Ktokolwiek podejmie dyskusję z tym stwierdzeniem będzie uznany za wariata, co również dyskusję kończy. Inaczej w wypadku wolności prasy w Sowietach. Tam ona „jest”. W deklaracjach, w konstytucji, w przemówieniach. Nie było w praktyce, nie ma i w warunkach tak zwanej dyktatury proletariatu, zapewne dalej nie będzie. Ale w teorii istnieje, co pozwala do słownika zjawisk społecznych w Sowietach wprowadzić termin umowny: wolność prasy. Ponieważ zjawisko „jest”, choćby tylko w słowniku — trzeba o nim parę słów powiedzieć, wykorzystując to wydarzenie, jakim był zakończony w ostatnim tygodniu listopada pierwszy zjazd Związku Dziennikarzy Sowieckich.

Po dwudziestym zjeździe partii sowieckiej, w okresie „odwrotu od beriowszczyzny”, kultu jednostki — zaczęły się i w prasie sowieckiej prądy w kierunku rozluźnienia stosunku służbowego między chlebową-partią i urzędnikiem — dziennikarzem. Zaczęto mówić o innym stylu prasy, o potrzebie zbliżenia jej do prawdziwego życia, a nie życia wymyślanego z przemówień i obchodów. I właśnie wtedy, w lipcu roku 1956, w punkcie szczytowym okresu destalinizacji „Prawda” kategorycznie stwierdziła, że zasadniczy charakter prasy sowieckiej — charakter narzędzia do wykonywania zadań partii — zmieniony nie będzie. Uczyniono to poprzez cytata z broszury Lenina o prasie, opublikowanej w roku 1921. W broszurze tej Lenin pisał:

„Wolność prasy to wolność dla politycznych organizacji burżuazji, dla socjaldemokratów i socjalrewolucjonistów. Dać tym ludziom narzędzie takie jak wolność prasy — znaczyłoby ułatwić zadanie przeciwnika, pomagać wrogowi. Nie chcemy się znaleźć w sytuacji samobójcy i z tego powodu nie wprowadzimy wolności prasy”.

W 35 lat od chwili napisania i opublikowania przez Lenina tych słów, w roku 1956 — nie było już

w Rosji ani socjaldemokratów ani socjalrewolucjonistów, ani żadnej „organizacji burżuazji”, ani w ogóle burżuazji — jeśli nie wspomnieć burżuazji partyjnej. A przecież przypomniano nauki Lenina o roli prasy w systemie komunistycznym, aby nie było nieporozumień także w 35 lat po śmierci jednego dyktatora, a przed skonsolidowaniem pełni władzy przez następnego. Zasada faktycznego pozbawienia społeczeństwa wolności prasy w państwie sowieckim weszła do prawodawstwa. Andrzej Wyszyński w swym podręczniku o prawie Związku Sowieckiego napisał:

„W naszym kraju nie ma oczywiście wolności prasy i wolności słowa dla wrogów socjalizmu i nigdy być nie może. Wszystkie wysiłki wrogów zmierzające do przeciwstawienia się państwu, to znaczy przeciwko masie klasy robotniczej, muszą być uważane jako zbrodnie kontrrewolucyjne, podlegające sankcjom karnym zawartym w kodeksie karnym”.

A w kodeksie karnym sankcje, owszem, są. I to nie byle jakie. Artykuł 58 mówi o antysowieckiej agitacji i rozpowszechnianiu antysowieckiej literatury, przewiduje kary od sześciu miesięcy więzienia

do kary pozbawienia wolności na przeciąg lat 25-ciu w łagrach, które teraz nazywają się obozami poprawczymi i wychowawczymi. Innymi słowy: każda wypowiedź prasy sprzeczna z zarządzeniami partii (to jest władzy) — spowodza konsekwencje zbrodni. Dogmat nie podlega dyskusji publicznej, nie może budzić wątpliwości. Dogmat można przyjąć — albo „wychowywać się” w... łagrze. Nowość w stosunku do palenia na stosie przed pół tysiącem lat polega tylko na braku „opału”, kata w malowniczym przebraniu i temu podobnych dekoracji. Istota rzeczy w tym postępowym systemie pozostała ta sama: myślenie — to herezja, dyskusja — to zbrodnia.

A jednak artykuł 125 konstytucji sowieckiej z roku 1936 mówi o wolności prasy. „Z uwagi na interesy ludzi pracy, jak również wzmocnienie systemu socjalistycznego, obywatelom Związku Sowieckiego prawo gwarantuje: a) wolność słowa, b) wolność prasy”.

Pozostaje już tylko taki drobny szczegół, jak ustalenie kto interpretuje interes ludzi pracy. Oczywiście partia. I tak po nitce do kłębka — rozwiązujemy zagadkę spod cylindra czarnej magii. Jak to jest —

kiedy wolność prasy „jest”, a jednocześnie jej nie ma? Wynik ostateczny poszukiwań brzmi: wolność prasy w Sowietach, to wolność posługiwania się prasą przez wszystkie instancje partii i administracji państwowej.

W przeniesieniu na inne kraje wyglądałoby to mniej więcej tak, jak jakieś niemożliwe do wyobrażenia prawo rządu Macmillana do nakazania, powiedzmy „Daily Herald” — wydrukowania zachwytów nad konserwatywną polityką w sprawie np. nacjonalizacji stali. Rzecz w tym, że w Sowietach nie ma takiego problemu, bo pisma, które widzi inne rozwiązanie spraw polityki, gospodarki, kultury, dnia codziennego — nie ma i być nie może. Gdyby nawet istniała teoretyczna możliwość publicznej dyskusji nad zagadnieniami ustroju i bieżącej polityki rządu — to przecież interes klasy robotniczej nakazał wprowadzenie monopolu na drukarnie, farbę drukarską, papier. Nikt w Sowietach nie może wydać niczego, na czym swego stempla nie położy partia i państwo. W ten sposób wydawcami prasy są ministerstwa, rady najwyższe związkowych republik, komitety partii, komsoł, związki zawodowe, wojsko,

albo wręcz państwowe instytucje wydawnicze.

Zwoływać zjazd takiego dziennikarstwa, to po prostu urządzić odprawę branżową jeszcze jednego resortu.

A jednak urządzono. Zapewne z dwóch względów. Względ pierwszy: efekt propagandowy na zagranicę. Z cyklu: mamy wszystko. Jak trzeba to mamy i Związek Dziennikarzy. Względ drugi, na pewno nie mniej ważny — to beznadziejny poziom prasy sowieckiej, wyrosłej na kopiowaniu dekretów i drukowaniu przemówień. Od roku 1953 do tej pory trwa kampania zewnętrznego ożywienia prasy. W kwietniu roku 1955 wysoki urzędnik Komitetu Centralnego partii, Strepuchow, opublikował w „Izwestiach” druzgocącą krytykę prasy sowieckiej, pisząc:

„Leży przede mną plik wydawnictw regionalnych i prowincjonalnych z tego samego dnia. Uderza niesłychana identyczność wszystkich gazet. Jak bliźnięta — ledwie możliwe do rozróżnienia. Gdyby nie tytuły gazet, nazwy okręgów, fabryk i kołchozów, każda z tych gazet mogłaby być doskonale zastąpiona przez drugą i ani czytelnik ani nawet zespół redakcyjny zainteresowanej gazety nie mógłby się połapać”.

Podobną krytykę w piśmie „Komunist” zamieścił w roku 1956 Łazebnik z Centralnego Komitetu partii na Ukrainie. Powołany został specjalny organ prasowy „Sowietskaja Pieczat” do przeprowadzenia reformy prasy w kierunku jej większego ożywienia, a jednocześnie pozostawienia w niezmienionym charakterze — narzędzia władzy. Prasie sowieckiej dostały się słowa prawdy: tępotna, kopiowanie, cytatomania, z cudzysłowami a nawet bez cudzysłowów.

Wszystko to trochę poprawiło wygląd sowieckich gazet. Nie zmieniło ani ich charakteru, ani roli której służy: — zastąpienia samodzielnego myślenia — myśleniem władzy.

LISTY DO REDAKCJI

CZY TO TAK MAŁO?

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem Wojciecha Wasiutyńskiego w numerze 371 „Myśli” z dnia 15 października br. pod tytułem „Trzy Złudzenia i Jedna Prawda” nasuwają mi się dwie uwagi, za których opublikowanie będę bardzo wdzięczny.

Pisze Wasiutyński: „Kraje wymiaru Polski bardzo rzadko odgrywały rolę światową. Za naszego życia Polska raz odegrała rolę światową: swoim negatywnym stanowiskiem w latach 1938/39 uniemożliwiła stworzenie niemieckiej Europy i niemieckiej hegemonii światowej”.

Nie wiem, czy jest d z i s rzeczą potrzebną wmawiać Polakom, że kraje wymiaru Polski bardzo rzadko odgrywały rolę światową. U Polaków na uchodźstwie pod wpływem kłesk, jakie nas spotkały, daje się zauważyć rosnące niedocenianie, a nawet lekceważenie roli Polski w Europie i na świecie. U większości jest to postawa czysto emoc-

jonalna, nie podbudowana żadnymi głębszymi przemyśleniami. Nie trzeba udowadniać szkodliwości tego zjawiska. Dyktatorski system rządów w Polsce w połączeniu z niedzą materialną ludności sprzyja niestęty rozwojowi swobodnego kompleksu niższości u Polaków w Kraju. Zjawisko to potwierdzają liczne spotkania z rodakami, przybywającymi z Kraju za granicę. Prasą komunistyczną sekunduje temu rozwojowi, stale wmawiając Polakom, że kraj taki jak Polska nie może odgrywać samostajnej roli na arenie międzynarodowej, że przyczyną wszystkich nieszczęść, jakie nas spotkały, było to, że nie podporządkowaliśmy się od początku Sowietom itd. itd. W tych warunkach publicysta emigracyjny powinien moim zdaniem, bardzo ogólnie wypowiadać sądy, mogące pogłębić pewne wysoce niepożądane procesy. Powinien to czynić nawet wtedy, gdy ma rację, jeśli chodzi o meritum sprawy.

Ale czy słuszne jest zdanie, że bardzo rzadko odgrywamy rolę światową? Wbrew temu, co mówi Wasiutyński, za naszego życia nie raz, lecz dwa razy Polska odegrała rolę światową. Nie tylko w latach 1938/39, lecz również w roku 1920. Przypomnijmy sobie jakie nastroje panowały w Europie po pierwszej wojnie światowej (zwłaszcza w Niemczech) i zastanówmy się, co mogłoby nastąpić, gdyby Polska nie odparła najazdu bolszewickiego. Tak więc kraj „wymiaru Polski” dwa razy w ciągu 19 lat zdecydował o losach Europy. Czy to tak bardzo mało?

Dla uniknięcia nieporozumień chcę z naciskiem zaznaczyć, że z pozostałymi twierdzeniami artykułu zgadzam się całkowicie i uważam, że ich opublikowanie było bardzo na czasie.

Łączę wyrazy szacunku

Franciszek Strzałko

życiu ujawniać się musiały szczerze, głębsze, sięgające dna duszy. Nie mógł tych szczytnych zabliźnić patriotyzm uczuciowy, bo i on pękał i wyraźnie widać było, gdzie zastępuje go werbalizm i symbolizm.

Ujawniło się teraz dopiero w skutkach, że społeczeństwo polskie już od paru pokoleń podlegało podwójnej kulturze duchowej w rzeczach dotyczących stosunku jednostki do zadań narodowych, że były pod tym względem dwa rządy duszy, z których jeden był konspiracyjny. Polska nie była pod tym względem odosobniona. Cały świat cywilizowany miał te pęknięcia, które teraz doprowadzają go do katastrofy. Nie mam potrzeby wdawać się tutaj w wykład dziejów masonerii i mocarstwa anonimowego, uwidatnić chcę tylko ten rys, który się nam dał odczuć tak dotkliwie przy organizowaniu państwa, kiedy wiele rzeczy trzeba było zaczynać — nieraz dość naiwnie — od elementów.

W poprzednich rozdziałach już zaznaczyłem, że na czoło obozu przeciwstawiającego się narodowemu rewolucja rosyjska a potem wojna wysunęły grupę socjalistyczną. Ona stała się czynnikiem organizującym wszystkie defetyzmy, bierności polityczne, ułomności moralne, gdziekolwiek ten czas je zastał, niezależnie od miana stronnictwa, którego były balastem. Szło to wszystko do Polski pod hasłem pięknym „niepodległości” i gotowało się do objęcia spadku po wojnie, dbając — pomimo różnic w poglądach społecznych — jednomyślnie tylko o to, żeby rządy w odrodzonym państwie nie dostały się w ręce żywiołu narodowego. Pozytywnie łączyła tych ludzi, jak wspólny mianownik, żądza zrobienia na Pol-

sce interesu, a ten tylko mógł zrobić „bajeczną karierę”, kto zawiądnął mechanizmem państwowym. Żadnych skrupułów na punkcie swej niekompetencji ludzie tego typu duchowego mieć nie mogą, bo co się dotyczy celów i dróg postępowania, pokładają zupełną ufność w swoich ideowych kierownikach, znaleźli się przecież na terenie politycznym nie przypadkowo, lecz jako skonspirowani, choć na różnych szczeblach wtajemniczenia. Nie bardzo są zresztą ciekawi tajemnicy celów i źródeł, skąd płyną wskazania — są za słabi, żeby myśleć samodzielnie, a idee im podawane są łatwe i schlebające słabości natury ludzkiej.

Nie chcę załatwiać się z zagadnieniem tak skomplikowanym w sposób tak prosty, jak to robią ludzie poirytowani, przypisując swoim przeciwnikom złą wolę. Cóż by to była za sztuka rządzenia duszami, gdyby tylko wolę zbrodniacza eksploatować.

Działanie pedagogiki żydowsko-masońskiej właśnie dlatego dało w Polsce owoce, że szuka wszędzie dróg najmniejszego oporu, wyzyskując z upodobaniem nagminne kompleksy psychiczne, lub je fabrykując. Do takich kompleksów należy epidemiczny m a s z y n i z m, jako idea — potomek materializmu filozoficznego. Kiedy jednak słyszę ogólnikowe a tak popularnie rozpowszechnione oskarżenia materializmu filozoficznego, jako głównego sprawcy obłędu XIX wieku, to bierzę mnie choć przesunięcia owej odpowiedzialności na ów pochodny maszynizm, zwłaszcza w dziedzinie pojęć i dążeń społecznych. Nie podobna o wszystko oskarżać Demokryta. Daleko skuteczniejszym wychowawcą

niż filozofia jest tzw. duch czasu. Filozofów nikt nie czyta, a maszyny głośno się reklamują i ludziom imponują. Wynalazki techniczne nadeły rozmach dążeniom materialistycznym, a pobudzona w tym kierunku wyobraźnia ukazywała świat jako urządzenie czysto mechaniczne.

Filozof-materialista odrzuca spirytualizm z jego metafizycznymi przesłankami, uznaje jednak istnienie duszy, choćby tylko jako produktu mózgu ludzkiego. Ale i tej duszy ten dążeniami, praktycznym, z ducha czasu pochodzący materializm nie szanuje. Obcy mu jest humanizm, świadomy tego, czym jest rozrost osobowości w jednostce i społeczeństwie. Mechanistyczny pogląd na świat cofa cywilizację od społeczniając życie zbiorowe do stanu gromady według wzoru ze świata zwierzęcego: stadnina i ogier.

Słusznie powiedział Dmowski, że im mądrzejsza maszyna, tym głupszy człowiek. Otóż maszyna „wzięła na kawał” znużoną idealizmem Europę. Rozkochał się w maszynie kapitalista i miał ku temu niewątpliwie „materialistyczne” powody, ale że tę miłość rajfurzył poglądom socjalistycznemu Marx, to już sekret semickiego talentu i tej prawdy, że antagonizm tak dobrze potrafi łączyć ludzi, jak i kłócić. Socjaliści uwierzyli w lepszą przyszłość ludu robotczego, sprawioną przez wielkie obroty towarowe — więc przez maszynę.

Widzieliśmy, jak zaczął się socjalizm w Polsce od propagandy „materialistycznego poglądu na świat”, mianowicie od poglądu, że wytwórce rąk ludzkich, jak drobnego rolnika czy rzemieślnika, stała się już anachronizmem, przyszłość zaś leży w wielkich maszynach, a więc

na roli — w traktorach (Krzywicki). Idea ta legła, jak widzimy, u podstawy komunizmu rosyjskiego.

Byłby złym obserwatorem, kto by nie spostrzegł, że w popularnym zastosowaniu pogląd ten odsunął człowieka jako źródło energii twórczej na plan dalszy, ledwie widoczny. Pogląd ten jest sprawcą, że socjalizm poczęty z idei humanitarnej stał się niebawem okrutny dla człowieka i z całą oschłością przenosił się z idei człowieka na ideologię maszynizmu społecznego z zapoznaniem najelementarniejszych praw litości dla człowieka jako żywej siły i dla społeczeństwa jako tworu biologicznego. Jaskrawy obraz tego zjawiska mamy w bolszewizmie. Przesunięty w ten sposób kąt patrzenia na świat ludzki pociągając musiał za sobą konsekwencje we wszystkich dziedzinach myśli — społeczno-humanitarnej, politycznej, gospodarczej, religijnej, nawet estetycznej. Stał się manierą myślenia.

Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że przy pewnym uproszczeniu myślenia, mianowicie wtedy, gdy człowiek tak spoufali się ze zjawiskami życia, że nie widzi w nim żadnych tajemnic, bardzo łatwo usuwa mu się z rachunku tajemnica siły biologicznej. Cały świat wydaje mu się wtedy ustrojem mechanicznym, a skoro tak, to człowiek jest jedynym na świecie mechanikiem. Kto zawiądnął mechanizmem, ten jest panem świata. Dlatego w takiej cenie są u socjalistów „specje”.

Świat ludzki (cywilizacja) jest niezaprzeczenie częścią świata materialnego, dostępną traktowaniu fizikalnemu, ale kiepskim fizykiem jest taki socjolog, który nie rozróżnia dwu procesów z sobą współczynnych we wszystkich zjawis-

kach życia, mianowicie że obok procesu mechanicznego istnieje proces organicznego życia — biologiczny. W cywilizacji reprezentantem i twórcą tego świata jest siła biologiczna człowieka ze wszystkimi tajemnicami swego pochodzenia i powołaniami ducha.

Cywilizacja jest tworem nadorganicznym ducha, a więc siły biologicznej człowieka, dla którego „maszyna” jest tylko jednym ze środków. Zatraca władzę nad cywilizacją, kto zapoznał się z jej źródłem. Nadbudowa nad człowiekiem biologicznym jest jego duch, nadany jego życiu organicznemu. Tworem organicznym jest naród, w który ten duch się wciela. Społeczności cywilizowane mają życie dziejowe przez naród. Życie narodu oparte jest na ciągłości pokoleń, a więc procesem jest biologicznym. Ale nie jest to proces jedynie fizyczny, jak u zwierząt. Dzieje pokoleń tych to ciągłość przeżyć duchowych, ściśle związanych z przyrodą społeczeństwa, nie zaś z jego mechaniką.

Polityk tedy, regulujący dzieje swego społeczeństwa, nie może iść przeciw prawom natury, musi uwzględnić wszystkie pierwiastki ducha ludzkiego z całym systemem życia uczuciowego i irracjonalnego, musi traktować dzieje n a t u r a l i s t y c z n i e, inaczej przerwie rozwój podstawowo - biologiczny. Kto tę prawdę spuści z oka i zawierzy się doktrynie maszynizmu, z góry musi się zdecydować na konsekwencje bolszewizmu, na taki upadek duchowy, w jakim widzimy dzisiaj komunizm rosyjskiego, wpadającego w szal na widok zegarka jako maszyny. To nie jest kwestia materializmu, lecz po prostu zidiocenie. (C. d. n.)

10 ROCZNICA
Wystawa obrazów
GRUPY 49.
w Galerii Grabowskiego
do 9 stycznia 1960 roku,
otwarta codziennie
godz. 10—6,
w niedziele godz. 2—5 pp.
WSTĘP WOLNY.
Galeria będzie zamknięta w Wigilię i dnie świąteczne (25 i 26).

HISTORIA

WSPOMNIENIA ATTACHÉ WOJSKOWEGO

Antoni Szymański: Zły Sasład. Veritas. Londyn, 1959. Str. 197. Sh. 15/-.

Spośród wielu funkcji pełnionych przez dygnitarzy każdej ambasady najciekawszą jest chyba funkcja attaché wojskowego. Poza bowiem obowiązkami ściśle reprezentacyjnymi należy do niego także obowiązek informowania swego rządu o jawnych i tajnych sprawach wojskowych państwa, w którym pełni swą funkcję. Dlatego słuszny byłby sąd, iż pamiętniki attaché wojskowych mogą zawierać немало ciekawych czy nawet sensacyjnych afer szpiegowskich. Tak może być, tak nie musi być.

Przekonały mnie o tym wydane niedawno w Londynie wspomnienia płk. dypl. Antoniego Szymańskiego, który przez lat siedem, w dodatku przez okres niezmiernie ciekawy, pełnił funkcję attaché wojskowego ambasady polskiej w Berlinie (od 1932 do 1939). Wprawdzie w słowie wstępnym podkreśla autor, iż „przedmiotem mego sprawozdania są Niemcy, ściślej, zagadnienia wojskowe Rzeszy”, niemniej kilka stron dalej dowiadujemy się, że — jak wynikało z dyrektywy otrzymanej od szefa sztabu gen. J. Gąsiorowskiego — „pan Marszałek nakazuje panu pełnienie zadań ściśle oficjalnych i reprezentacyjnych i unikania nawet pozorów zdobywania wiadomości drogą nielegalną”. Te zastrzeżenia wyjaśniają dlaczego na 200 stronicach „Złego sąsiada” (jak brzmi tytuł książki dedykowanej „córkom moim Ewie, Hance, Marysi”) nie znajduje się żadnych sensacji, natomiast przeważają poważne, wnikliwe i trafne, choć nie rewelacyjne, uwagi na temat polityki — zwłaszcza wojskowej — naszego sąsiada.

Autor miał szczególny tytuł, by objąć po płk. Witoldzie Dzierżykraj-Morawskim to stanowisko. Znał równie dobrze jak jego poprzednik Niemców i Niemcy, władał biegle językiem niemieckim, brał udział w Powstaniu Wielkopolskim a z patriotycznego domu wyniósł na pewno wiele wspomnień, jak to starsze od niego pokolenie walczyło wytrwale z pruskim ciemiężcą. Ojciec autora, dr Roman Szymański, był przed pierwszą wojną światową jedną z czołowych postaci politycznych w b. zaborze pruskim. Był nie tylko tym, który „zainicjował po raz pierwszy masowe wiece protestacyjne ludności polskiej przeciw ukłiskowi narodowemu i religijnemu w latach walki o kulturę” (jak to przypominają autorzy wydanej niedawno w Poznaniu wspaniałej książki pt.: „Wybitni Wielkopolanie XIX wieku” — Wydawnictwo Poznańskie), ale był i powstańcem 1863 roku i był — na przełomie XIX-go i XX-go wieku redaktorem i założycielem dwóch niezmiernie popularnych pism, „Orędownika” i „Kurierza Poznańskiego”, które przez lata całe kształtowały i ukształtowały w duchu narodowym oblicze ówczesnego społeczeństwa.

I dlatego z pełnym zaufaniem można wziąć do ręki wspomnienia płk. A. Szymańskiego, którego koleje losu tej ostatniej wojny zapędziły aż do więzienia w Łubiance, dokąd poprzez Turcję (gdzie znowu pełnił funkcję attaché wojskowego), Kair (szef „Biura Wojskowego” przy pełnomocniku rządu R. P. na Środkowym Wschodzie), wreszcie Szwajcarię dostał się do Paryża, gdzie jako attaché wojskowy i szef misji wojskowej pozostawał aż do likwidacji tej ważnej w swoim czasie placówki w maju 1948 r.

Jak już wspominałem autor zajmując się głównie sprawami wojskowymi, znacznie mniej politycznymi i to tak dalece, że czytelnik niewiele dowiaduje się o współpracy attaché wojskowego przy ambasadzie polskiej w Berlinie z właściwym jej szefem, śp. amb. J. Lipskim. Prawdę mówiąc postaci ambasadora jakby właściwie nie było, choć jest chyba rzeczą wykluczoną, by autor z amb. J. Lipskim nie dokonywał oceny coraz bardziej komplikującej się sytuacji politycznej. Fragmenty takich rozmów mogłyby mieć z pewnością wartość dokumentu historycznego.

W czasie swej długoletniej służby autor poznaje wiele czołowych postaci armii niemieckiej a m.in. gen. Adama, długoletniego kierownika „Mózgu” Reichswehry, który nie wahał się powiedzieć, że „stanowisko attaché wojskowego Polski jest najtrudniejsze ze wszystkich tutejszych zagranicznych przedstawicielstw wojskowych”.

O swojej pracy w Berlinie pisze płk. Szymański tymi słowami:

„Do moich zadań należało przysyłanie takich wiadomości, jakie poza placówką berlińską były trudne, bądź w ogóle niemożliwe do uzyskania. Często było to oficjalne informacje, jakich na zapytania stosunkowo łatwo udzielał niemiecki sztab generalny... Moje wstępne kontakty z

niemieckim sztabem generalnym kulały. Nie zapraszano mnie na ćwiczenia i manewry, ponieważ kierowano się zasadą wzajemności, a Niemcy w 1932 r. nie mieli jeszcze swego przedstawiciela wojskowego w Polsce. Sytuacja zmieniła się na lepsze, gdy to nastąpiło w następnym 1933 roku”.

Wiele uwag — i słusznych — poświęca autor roli gen. v. Seeckta, „twórcy Reichswehry”, który wpływał „mocno na politykę zagraniczną republiki weimarskiej” [konceptja współpracy z Rosją Sowiecką] a dodajmy jeszcze od siebie — autora słynnego „planu Seeckta”, znalezione po jego śmierci wśród jego papierów osobistych, złożonych w archiwum wojskowym w Poczdamie. Jak wiadomo, w planie tym domagał się Seeckt zniszczenia Polski. „Istnienie Polski jest nie do zniesienia” i „dlatego powinna zniknąć”. Słusznie przeto autor przypomniał tę postać, która wskazała Hitlerowi w jakim kierunku powinna iść jego polityka i w jakim kierunku winna była jego armia przede wszystkim uderzyć. Zarysowująca się zaraz po I wojnie światowej współpraca Niemiec z komunistyczną Rosją miała trwać aż do września 1939 r. Przez cały ten okres „obustronnie... dążono do wzmacniania potencjału militarnego, z możliwym unikaniem wzajemnych powikłań” — jak trafnie kwalifikuje ten okres płk. Szymański.

Z braku miejsca nie jestem w stanie poświęcić „Złemu sąsiadowi” (jakże słuszny tytuł!) wiele miejsca. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, iż „dzięki zespolu akredytowanych w Berlinie attaché wojskowych, morskich i lotniczych” [w ostatnich latach przedwojennych] mógł być — a kto wie nawet czy nie powinien — powiedzieć znacznie więcej. Po ambasadorze Lipskim był z pewnością najlepiej poinformowanym Polakiem w Niemczech. O niektórych sprawach pisze płk. Szymański z właściwą sobie subtelnością i umiarem, co dodaje walorów książce, z drugiej jednak strony są pewne niedomówienia. Książka zyskałaby nadto jeszcze więcej, gdyby można było ją zaopatrzyć w autentyczne raporty, wysyłane przez polskiego attaché do Warszawy, choć świadkami słusznych ocen autora mogłyby być przełożeni, z którymi spotykał się w czasie swej pracy w Niemczech: szef II oddziału sztabu głównego gen. T. Pełczyński i gen. K. Głabisz.

Jestem płk. Szymańskiemu szczególnie wdzięczny za rozdział poświęcony Polonii berlińskiej. Sam z niej się wywodzę i dlatego z największym zainteresowaniem czytałem stronicę, w których mowa była o naszych rodakach w stolicy Niemiec. Opis sławnego zwycięstwa w raidzie lotniczym Żwirki i Wigury i przylot ich na lotnisko w Tempelhofie a przy tej okazji żywiołowa manifestacja „Polaków-Berlińczyków”, która „świadczyła o tężyźnie narodowej całej społeczności polskiej w Niemczech” — zasługuje na szczególną uwagę.

Autor surowo ocenia politykę rządu polskiego w stosunku do Niemiec. Na str. 108 pisze dosłownie: „...nie mieliśmy... przemyslanego i zdecydowanego rządowego programu w odniesieniu do Niemiec. Kroczyliśmy ugodową drogą łatania stosunków od wypadku do wypadku, idąc w gruncie rzeczy po linii najmniejszego z naszej strony wysiłku i oporu. Już same studia zagadnień niemieckich pozostawiały wiele do życzenia...” „A na str. 119 czytamy niezmiernie ciekawe wyznanie: „Gdyby akta naszego sztabu głównego wojskowego rozpoznania Niemiec miały ujrzeć światło dzienne, uzupełniłyby one opublikowane dotąd przykłady trafnej naszej oceny wojennych przygotowań niemieckich aż po przeprowadzoną — w chwili niemieckiego na nas napadu — koncentrację wielkich jednostek. Ten wojskowy dział informacyjny o Niemczech powinien być mieć ważki wpływ na nasze decyzje państwowe.

Skoro tak nie było, musiały po temu istnieć przyczyny. Szukać ich należało w samych wojskowych naszych ocenach, różniących się znacznie, skoro mój sierpniowy meldunek o ustalonym terminie wojny niemieckiej przeciwko nam na 28 sierpnia...), jeden z kompetentnych wojskowych wyższych wojskowych oficerów sztabu głównego ocenił jako „panikarski”.

Wspomnienia płk. A. Szymańskiego wydane zostały starannie, nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” w Londynie. Podkreślić należy dobrą na ogół korektę (choć przytrafiło się kilka błędów), pomysłową obwolutę J. Dunin-Brzezińskiego (Karo), interesujące zdjęcia autora z czasów pobytu w Berlinie. Tym bardziej dziwi niestaranie wykonany indeks nazwisk.

Paweł Hęciak

POLITYKA

O punktach zapalnych na globie ziemskim

Bernard Newman — Danger Spots of the World. Robert Hale Ltd. London, 1959. Stron 224; cena 18 s.

LICZNE książki podróżnicze i reportaże Bernarda Newmana są lekturą popularną. Ich ciężar gatunkowy w kołach politycznych czy naukowych nie jest wielki, ale ich wpływ informacyjno-oświatowy na masy przeciętnych czytelników jest zapewne pokaźny. Nie znamy ich nakładów, ale wiadomo, że w bibliotekach publicznych są one rozczytywane. Szczere i pełne sympatii zainteresowanie Newmana sprawami Polski mogło udzielić się — za pośrednictwem jego książek — bardzo szerokiemu kołom społeczeństwa brytyjskiego. Ogólna postawa Newmana wobec Polski nacechowana jest wielkim zrozumieniem, znajomością rzeczy i ludzi i życzliwością. Newman jednak jest Anglikiem, przepojonym zasadami kompromisu, stąd niektóre jego pomysły nie zgadzają się z naszym punktem widzenia i naszymi interesami.

W jednej z ostatnich swych książek (jednej z trzech czy czterech wydanych w bieżącym roku!) pt. „Danger Spots of the World” Newman rzucił się swych spostrzeżeń i rozważań bardzo daleko, obejmując nią niemal cały świat, za wyjątkiem Ameryki i Australii. Nie brak bowiem punktów zapalnych na naszym globie ziemskim! Intencją autora jest przedstawienie w sposób prosty i łatwo zrozumiały tych problemów poszczególnych krajów, których istnienie może wywołać niebezpieczne napięcie międzynarodowe i ewentualnie doprowadzić do wojny, na mniejszą czy większą skalę. Do pewnego stopnia książka Newmana przypomina niektóre podręczniki popularne czy encyklopedie lekarskie, w których opis poszczególnych symptomów chorobowych nieodmiennie stawia przed oczyma czytelnika ewentualność śmierci. Newman jest człowiekiem czynu. Przeczyta on swoją rozmowę z pewnym francuskim b. premierem, który twierdził, że Francja mimo częstych zmian swych gabinetów posiada jednak wyraźnie określoną politykę, podczas gdy Anglia może się wprawdzie szczycić stałością w zakresie rządzenia, ale pozbawiona jest jasnej linii politycznej.

Newman mimo wszystkich swych zastrzeżeń, że zamierza tylko prezentować problemy, lecz nie wskazywać sposobów ich rozwiązania, odbiega niejednokrotnie od tej zasady. Właśnie dlatego, że jest człowiekiem czynu, uważa on, że polityka apolityczności (lapidarnie ujęta przez autora — the policy of no policy) jest rozwiązaniem kryjącym w sobie wielkie niebezpieczeństwo.

W książce tego typu, należącej do kategorii rozszerzonego reportażu politycznego, w której omówione są bieżące problemy kilkudziesięciu krajów, trudno oczekiwać głębokich i sumiennych studiów. Żywiość inteligencji, bystrość i spostrzegawczość autora składa się jednak na dzieło kalejdoskopiczne, którego wartość pouczająca jest dość pokaźna jakkolwiek jego uproszczone sformułowania niekiedy nie nadają się do przyjęcia. Na przykład sprowadzenie niebezpieczeństwa komunistycznego w świecie do zagadnienia statystycznego, do wysokości liczby zarejestrowanych członków partyjnych, może uzasadniać pewien optymizm w postawie autora, ale jest zgoła nierealistycznym ujęciem.

Autor poświęca wiele uwagi sprawom Środkowego Wschodu i Północnej Afryki, czyli światowi arabskiemu. Problemy zapalne azjatyckie autor wyodrębnia w rozdziałach poświęconych Chinom, Japonii, Indochinom, krajom Azji południowo-wschodniej, Korei oraz Indiom i Pakistanowi. Na czoło grupy europejskiej Newman stawia Polskę, z której problemami jest dobrze obznajomiony. Wśród innych krajów europejskich osobne rozdziały poświęcone są Węgrom, Bałkanom, Niemcom, krajom zachodnio-europejskim i Rosji.

Rozdział polski jest stosunkowo obszerny. Zaczyna się on od stwierdzenia, iż podczas gdy Niemcy są ofiarami swej historii, Polska cierpi głównie na skutek swego położenia geograficznego, wtłoczona między dwa olbrzymie i agresywne organizacje państwowe — Niemiec i Rosji. Polska wtedy tylko była bezpieczna — według Newmana — gdy Niemcy i Rosja znajdowały się we wrogich sobie obozach. Jest to spostrzeżenie słuszne, ale tylko w odniesieniu do nowszej historii, powiedzmy ostatnich dwóch stułci. Polska jest również ofiarą swej historii (a nie tylko swego geograficznego położenia) o tyle, że dopuściła u swych granic zachodnich i północnych do urośnięcia potęgi Prus hohenzollernowskich (a mogła była temu wczas zapobiec), i że nie po-

trafiła przełamać swej niemocy wewnętrzno-politycznej w okresie poważnego zagrożenia zewnętrznego.

Opisując odrodzenie się niepodległego państwa polskiego po pierwszej wojnie światowej, Newman obiektywnie przedstawia sprawę tzw. linii Curzona, jako proponowanej demarkacji rozejmowej. Uznaje on również prawa historyczne Polski do jej ziem wschodnich i przypomina, że Lenin ofiarował Polsce korzystniejszą linię graniczną, niż ustaloną w pokoju ryskim.

Resumé zagadnienia polskiego w czasie drugiej wojny światowej wypukła dobrane zdradziecką postawę Rosji Sowieckiej („poza grupą otumanionych komunistów wszyscy obecnie są przekonani o odpowiedzialności rządu sowieckiego za masaker katyński”) ubolewa nad przyłączeniem Lwowa do Związku Sowieckiego. Według Newmana mocarstwa zachodnie były gotowe udzielić Polsce po wojnie kompensaty terytorialnej na zachodzie po linię Odry i Nysy wschodniej, lecz nie zachodniej. Trochę niepoważnie brzmi argument, że podczas rozmów początkowych na temat przyszłych granic brak było map i stąd wynikło nieporozumienie w sprawie Nysy. Jak bądź autor stwierdza, że Niemcy nie są obecnie skłonne pogodzić się ze stałą utratą swych ziem wschodnich na rzecz Polski, i że sprawa granicy polsko-niemieckiej, w obecnej swej postaci jest jednym z najbardziej

niebezpiecznych problemów zapalnych dla pokoju światowego.

Rząd Niemieckiej Republiki Federalnej w Bonn konsekwentnie odmawia uznania tej granicy, w przeciwieństwie do komunistycznego rządu wschodnio-niemieckiego. Autor przyznaje, że z punktu widzenia ekonomicznego odzyskanie utraconych na rzecz Polski ziem jest dla Niemiec bez większego znaczenia, jednak grają tu rolę sentyment i duma narodowa. Autorowi wydaje się, że istnieje wyjście z impasu, przy pomocy kompromisowego rozwiązania. Niemcy musiałyby się pogodzić z utratą ziem po Odrę i Nysę śląską (wschodnią, odzyskałyby większą część Śląska Dolnego). Newman sugeruje, że Rosja może dałaby się nakłonić do zwrotu Polsce Lwowa.

W rozdziale poświęconym Niemcom autor podkreśla silnie (zbyt silnie, jakby się zdawało) dążenie Niemców do połączenia, do reunifikacji ziem niemieckich z wszystkimi zapalnymi implikacjami i konsekwencjami tego dążenia. Problem niemiecki staje się z roku na rok poważniejszy, w miarę zbrojenia się przy zachęcie Zachodu, Niemiec. Ta polityka mocarstw zachodnich, a głównie Ameryki, może okazać się krótkowzroczna. Dobrze byłoby, by Zachód przypomniał sobie poemat Goethego, o uczniu czarnoksiężnika, który rozkiszanych sił nie potrafił opłacać, gdy stały się niebezpieczne.

(m. ost.)

Jubileusz prof. Kolbuszewskiego

Dnia 28 listopada rozpoczęły się specjalne uroczystości ku czci profesora Stanisława Kolbuszewskiego, jednocześnie w Opolu i Montrealu. Opolskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wyłoniło Komitet, którego zadaniem jest organizacja obchodu 25-lecia pracy na katedrze uniwersyteckiej tego wielkiego uczonego polskiego oraz wydanie Księgi Jubileuszowej, zawierającej prace byłych jego uczniów. Prof. Kolbuszewski już w latach dwudziestych daje się poznać jako wybitny polonista, wykładający początkowo na wyższym szczeblu szkoły średniej język i literaturę polską w Poznaniu (Gimnazjum im. Ignacego Paderewskiego). W latach trzydziestych młody dr Kolbuszewski zdobywa sobie uznanie przełożonych, kolegów oraz studentów, jako docent Uniwersytetu Poznańskiego. Jesienią 1934 roku obejmuje on katedrę literatury słowiańskich na Uniwersytecie w Rydze. Jedenaście lat pracy jego na Łotwie znakomicie przyczyniło się do związania intelektualistów tego kraju z literaturą i kulturą polską.

W r. 1945 prof. Kolbuszewski objął katedrę literatury polskiej XIX wieku na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach od 1937 do 1950 prowadzi, równocześnie z zajęciami swymi we Wrocławiu, wykłady literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Poznańskim. W r. 1954 prof. Kolbuszewski obejmuje również katedrę literatury polskiej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, której w następstwie zostaje rektorem, nie porzucając swej zasadniczej katedry na Uniwersytecie Wrocławskim.

Prof. Kolbuszewski jest autorem całego szeregu wybitnych prac naukowych, poczynając od „Wizji Wyspiańskiego” (teza doktorska wydana w Poznaniu w 1924 roku), poprzez „Wyspiański a romantyzm”, „Polski teatr romantyczny” (praca habilitacyjna wydana w 1930 roku w Poznaniu), „Zarys literatury staropolskiej” oraz „Antologia poezji polskiej” po łotewsku, aż do ostatnich jego prac wrocławskich i redakcji świetnego „Kwartalnika Opolskiego”. Ogółem opublikował on około 250 rozpraw i artykułów naukowych, w językach polskim, francuskim, łotewskim, rosyjskim i niemieckim. Znały jest również dobrze w kołach międzyrodowych towarzystw slawistycznych.

Centrum Studiów Słowiańskich, którego dyrektorem, prof. Teodor F. Domaradzki jest również byłym uczniem rektora Kolbuszewskiego, zorganizowało w ramach seminarium filologii polskiej wieczór poświęcony 25-leciu pracy profesorskiej a 35-leciu pracy naukowej w ogóle, tego tak zasłużonego dla kultury polskiej uczonego i pedagoga.

Poza wspomnieniem osobistym dr. Domaradzkiego, który omówił działalność naukową oraz zapoznał słuchaczy z metodą badań literackich Jubilata, Anna Strawińska, studentka slawistyki i romanistyki Uniwersytetu Montealskiego, wygłosiła referat na temat studiów własnych, odbytych pod kierownictwem prof. Kolbuszewskiego na Uniwersytetach w Poznaniu i we Wrocławiu, gdzie uzyskała ona magisterium w zakresie polonistyki.

A. S.

ZNANA KAWIARNIA RESTAURACJA

CAPRICCIO GRILL

277, Kensington High Street, W. 8.

(obok kina Odeon)

KUCHNIA ANGIELSKA I KONTYNENTALNA — DOSKONAŁA KAWA I CIASTKA.

Otwarta codziennie od 10 rano do 12 w nocy.

W niedzielę od 3 popoł. do 12 w nocy.

W POLSKIM DOMU — KALENDARZ POLSKI

Już jest w sprzedaży

KALENDARZ POLSKI 1960

Zawiera — oprócz calendarium — kronikę najważniejszych wydarzeń, wiadomości o Polakach we wszystkich krajach, felietony, przysłówia i anegdoty, przepisy kulinarne, krzyżówki.

Cena 4/6 lub dol. 0.85.

W Y D A W C A :

GRYF — 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH POLSKICH KSIĘGARNIACH.